

JULIUSZ KYDRYŃSKI

## Paradoksy «Bloomusalem»

**W**idowisko Jerzego Grzegorzewskiego z muzyką Stanisława Radwana, grane przez zespół warszawskiego Teatru Ateneum, opiera się wprawdzie na fragmentach tekstu XV epizodu „Ulissesa” Joyce’a, ale śledzenie jego związków z „Ulissesem” jako dziełem literatury, zestawienie jego swoistej dyscypliny artystycznej z dyscypliną intelektualną i pisarską Joyce’a, i w ogóle ocenianie go w tych perspektywach niewiele ma sensu. Omawia się u nas „Bloomusalem” tak, jakby to była zwykła adaptacja, pełna tylko ciekawych i pięknych pomysłów inscenizacyjno-reżyserskich, do których należy też rozszerzenie terenu gry właściwie na cały teatr ze schodami, foyer i garderobami, a nawet — w finale — z fragmentem ulicy przed teatrem. Tymczasem „Bloomusalem” stanowi zjawisko zupełnie autonomiczne, co jest rzeczą tak oczywistą, że aż dziw, iż nikt tego nie zauważył, bo to przede wszystkim uderza już od momentu wejścia do teatru. Widać natychmiast, że został on — teatr — przystosowany do mającej się tu rozegrać sprawy niezwykłej.

Żeby wszystko było jasne: dobrze jest, oczywiście, idąc na „Bloomusalem” znać „Ulissesa”, a nawet trochę go rozumieć, ale — pragnę wszystkich uspokoić — nie jest to konieczne. Wcale nie żartuję. Chcę tylko powiedzieć, że zupełnie inne przeżycia — i korzyści — przyniesie spektakl Grzegorzewskiego-Radwana przypadkowemu widzowi, a zupełnie inne miłośnikowi czy znawcy utworu Joyce’a. (Znawców się u nas ostatnio namnożyło, natomiast określenie „widz przypadkowy” należy traktować umownie. Wobec wyprzedania przedstawień na wiele tygodni naprzód, o „przypadkowym” dostaniu się do teatru nie ma mowy).

Powiedzmy jednak, że zjawia się w teatrze ów umowny „widz przypadkowy” i — zdziwiony nieco tym, że teatr wygląda trochę inaczej niż zwykle, że np. funkcjonuje tylko niewielka część garderób — usiadzie wreszcie w fotelu na sali, również wyglądającej nieco inaczej, i zacznie oglądać spektakl. Przypuśćmy dalej, że gdy opuści ów fotel, wychodząc — w najlepszej wierze — na przerwę, to zorientuje się, że przerwy

w ogóle nie ma, bo przedstawienie toczy się dalej na schodach, w foyer, na małej scenie i — vis à vis — w garderobach równocześnie. I biedny „widz przypadkowy” nie wróci już na swój wygodny fotel, lecz będzie musiał wytrwać do końca stojąc w tych parterowych pomieszczeniach teatru, a raczej przechodząc z miejsca na miejsce i rozpaczliwie usiłując zobaczyć wszystko, co się dookoła niego dzieje. A to jest niemożliwe. Więc niewykluczone, że trochę się znudzi. Ale zakładam, że „widz przypadkowy” obdarzony jest dobrą wolą i nawet pewnym stopniem wrażliwości.

Co zrozumie z „Bloomusalem”? Oczywiście nic. Ale czy koniecznie trzeba, żeby coś zrozumiał? Czy nie wystarczy, że pojmie — a jeśli ma dobrą wolę i odrobinę wrażliwości, to pojąć musi — iż stał się, chcąc nie chcąc, uczestnikiem wieczoru, w ciągu którego z pewnym rozchełtanym panem o ogolonej głowie



Marek Walczewski i Elżbieta Kępińska w „Bloomusalem”

dzieją się jakieś dziwne rzeczy, co ma pewien związek z drugim panem w kapeluszu i z laseczką? Że — jak w koszmarnym śnie — roją się przed nim (a później i obok niego) czerwono ubrani pijani żołnierze, czarno ubrani trzeźwi policjanci, a przede wszystkim skąpo ubrane, względnie trzeźwe i brzydko się wyrażające dziewczęta, co do których zawodu nie można mieć wątpliwości? I że konflikty, jakie między tymi postaciami się nawiązują, mogą być poważne i niebezpieczne, że zatem należy odetchnąć z ulgą, gdy wreszcie uda się obu panom bez poważniejszych uszkodzeń ciała wydostać z tego całego bałaganu i wyjść po prostu na ulicę?

A jeśli nasz „widz przypadkowy” pojmie jeszcze — może dopiero nazajutrz, gdy wróci do niego obraz, które oglądał, gdy zadzwieczy mu w uszach niezwykła muzyka i odezwane kwestie aktorów — że w ogóle życie jest dziwne i wcale niełatwe, to będzie musiał uznać, że nie stracił wieczoru.

Rewolucyjność i odkrywczosc „Ulissesa” tkwią w jego warstwie formalnej. To właśnie dzięki zabiegom formalnym Joyce mógł powiedzieć o człowieku więcej niż ktokolwiek przed nim. A przynajmniej — choć to brzmi jak paradoks wobec powszechnej i dziś jeszcze pokutującej opinii o „niezrozumiałości” dzieła — mógł powiedzieć to jaśniej. Przekona się o tym ten, kogo nie odstraszą niewątpliwe trudności przebrnięcia przez ową — pełną zresztą uroków — warstwę formalną książki.

Pisałem już kiedyś, że jeśli idzie o „Ulissesa”, to paradoksy można by mnożyć. Nie inaczej jest w przypadku „Bloomusalem”.

Joyce operuje słowem i operuje nim tak precyzyjnie, że w „Ulissesie” każde słowo ma swoją wagę, znaczenie, niemal każde doczekało się już uczonego komentarza. Joyce był wielkim artystą słowa, ale — choć

zależało mu na tym, żeby nim zostać — nigdy nie był artystą teatru.

Grzegorzewski i Radwan są artystami teatru. Z chwilą, gdy zdecydowali się przyswoić teatrowi fragmenty XV epizodu, postawili przed sobą zadanie prawie nie do rozwiązania: odnaleźć taki sposób i taki zasób działań, obrazów i dźwięków, który by równie precyzyjnie jak słowo przekazał konieczne treści. Nie ilustrując ich, lecz właśnie przekazując, to bardzo ważne.

Ponieważ wszystkie dotychczasowe zabiegi sceniczne, jakich na „Ulissesie” dokonywano, a o których wspominali z okazji „Bloomusalem” nasi erudyci, szafując obficie nazwiskami Allana Mc Clelenda, Marjorie Barkentin i Zero Mostela, były ilustrowaniem tekstu. Dotyczy to także znakomitej skądinąd sztuki Słomczyńskiego, w której świetny tłumacz dał ilustrację całości dzieła. „Bloomusalem” jest czymś innym.

Jest — znowu paradoksalnie — maksymalnie szczęśliwym rozwiązaniem owego nierozwiązalnego zadania. Gdyby mi Grzegorzewski z Radwanem tego nie pokazali, nigdy bym nie uwierzył, że możliwe jest ofiarowanie nam pełnego scenicznego ekwiwalentu nie tylko XV epizodu, lecz — poprzez jego wybrane fragmenty — jak gdyby całego „Ulissesa” w pigułce. Tak, jak Słomczyński odnalazł bezbłędne odpowiedniki dla słów Joyce’a w polszczyźnie, tak Grzegorzewski i Radwan odnaleźli z kolei dla dzieła tymi słowami stworzonego bezbłędny odpowiednik w wyrazie teatralnym. Słowo naturalnie nie przestało tutaj odgrywać swej roli, lecz jego funkcja kreacyjna została podzielona i rozdzielona między: działanie aktorów, obraz sceniczny, układ sytuacji i — przede wszystkim — muzykę. Przekonaliśmy się, że można osiągnąć idealną syntezę, a przynajmniej zbliżyć się do jej ideału na tyle, żeby nie odczuć niedosytu, a nawet wrażenia, że ma się do czynienia z dziełem zastępczym. Bo istotnie słowo Joyce’a, to słowo tak ważne, precy-

zyjne, tak drobiazgowo skomentowane, jest nie do zastąpienia. Okazało się jednak, że może być wymienione.

Dlatego nie można oceniać „Bloomusalem” w stosunku do tekstu, na którym zostało oparte, gdyż jest to utwór zainspirowany jedynie przez „Ulissesa”, wywiedziony natomiast z przesłanek nie literackich, lecz teatralnych. A ponieważ inspirację dało dzieło rewolucyjne i odkrywczе, więc i „Bloomusalem” jest spektaklem rewolucyjnym i odkrywczym. W tym sensie jest całe z Joyce’a i w tym sensie jest Joyce’owi wierne.

Paradoks końcowy: znakomite kreacje aktorskie, które zasługiwałyby na szczególne wyróżnienie, w tym osobliwym spektaklu są czymś tak zrozumiałym, że trudno je wyróżniać. W tym ideale syntezы wtapiają się w sytuację, plastykę, dźwięk. Naturalnie, Marek Walczewski jest wspaniałym, ale wspaniałe jest też rozwiązanie reżyserskie jego dialogu ze zjawą ojca, sceny jego apoteozy czy wreszcie finałowej sceny odejścia ze Stefanem. Naturalnie, Elżbieta Kępińska to artystka, która elektryzuje samym swoim pojawieniem się na scenie, a jej piosenka o „nodze kaczej” to absolutne arcydzieło, lecz rozpoczynająca spektakl sytuacja, w jakiej ustawił ją reżyser, jest arcydziełem równej miary. I znów można by mnożyć te przykłady. Aktorzy powinni w każdym razie mieć tę niewątpliwą satysfakcję, że dane im było wziąć udział w przedstawieniu, rozpoczynającym z pewnością nowy etap w przemianach naszej sceny.

„Bloomusalem” jest spektaklem nocnym. Rozpoczyna się o godz. 22, a kończy tuż przed północą. Zainaugurowało ono otwarcie w Teatrze Ateneum nowej sceny, nazwanej „Ateneum-Atelier”, a przeznaczonej dla takich właśnie nietypowych realizacji. Po pierwszej premierze dyrektorowi Januszowi Warmińskiemu należą się serdeczne gratulacje, a na przyszłość — najlepsze życzenia.

JULIUSZ KYDRYŃSKI